

# MAGAZYN OPINII Pismo.

GRUDZIEŃ 2019

## OPOWIADANIE

**Postanowienie** | 6

BARBARA SADURSKA

**Białe karły** | 92

MAGDALENA KORYNTCZYK

## RZECZ GUSTU

**Bezprezentownik** | 2

ARETA SZPURA podpowiada, co dać bliskim pod choinkę

## APTECZKA

**Co w niej trzyma...** | 96

LENA PIĘKNIEWSKA

## POEZJA

**Powołania** | 33

ZUZANNA GINCZANKA

**Pieśń ostateczna** | 39

WOJCIECH BONOWICZ

## OBRAZ

CYKL MIGRACJE **Mosul** | 4

KAROL GRYGORUK/RATS

FOTOREPORTAŻ **Miasto, masakra, maszyna** | 34

JAKUB CERTOWICZ

KOMIKS **Ryfa II: Jedna rodzina** | 62

SZTYBOR/TRUST

OKŁADKA **Wybierz sobie rodzinę**

TOMEK PIENŹCAK

## FELIETON

II | TYMCZASEM **Opowieść**

MARCIN WICHA

## ROZMOWA

26 | **O sadzeniu róż**

JUSTYNA DĄBROWSKA w rozmowie z ZOFIĄ MILSKĄ-WRZOSIŃSKĄ

## PORTRET

48 | **Dziennikarka, która podzieliła Wielką Brytanię**

BEN JUDAH u CAROLE CADWALLADR, autorki artykułów o aferze Cambridge Analytica

## REPORTAŻ

12 | **Suche bagno**

FILIP SPRINGER w ostatniej odsłonie swojej Podróży do przyszłości

18 | **Analfabeta przytula przez kraty**

ANNA KIEDRZYNEK pyta, jak być rodzicem, gdy odsiaduje się wyrok

40 | **Życie obok pędzącego sapsana**

JELENA KOSTIUCZENKO pokazuje, czego nie widać z okien rosyjskiego superpociągu

54 | **Nienawiść dobrych, szczerých ludzi**

KAJA PUTO jedzie do Gruzji na paradę równości

## ESEJ

68 | **O przyjaźni, jeśli w ogóle się da**

KAROLINA LEWESTAM składa hołd ludziom, bez których trudno nam żyć

84 | **Lustreczko, powiedz przecie...**

JAKUB SZCZĘSNY o stanie polskiej architektury ostatnich trzech dekad

## HISTORIA OSOBISTA

76 | **Wspólnych mamy tylko zmarłych**

ZOFIA SAWICKA w intymnej opowieści o bliskich, bliźszych i nieobecnych

# Bezprezentownik

CZYLI ARETA SZPURA  
POLECA W GRUDNIU:

Święta to jeden z tych momentów, kiedy melisa wchodzi na stałe w mój drinkospis. I nie, nie chodzi tu o zbliżającą się *family drama* (choć może trochę). Chodzi o zakupy. Już mam gęsią skórę na myśl o tym, ilu ludzi kolejny raz kupi tony niepotrzebnych rzeczy. Bo prezenty. Bo taka tradycja. Bo tak wypada, bo nie chce się pomyśleć, poszukać. Przecież każdy ucieszy się z zestawu żel pod prysznic plus dezodorant, opakowanego w trzy warstwy plastiku. Albo z kolejnej pary skarpet i piżamy z dyskontu. Prawda?

Niekoniecznie. Jak to się stało, że w ciągu jednego pokolenia przeszliśmy od czasów, kiedy święta to był ten jedyny, wyczekiwany moment w roku, do chwili obecnej, w której nie mamy już pomysłu, co kupić naszym bliskim, bo mają wszystko? Trend *#zerowaste* rozprzestrzenił się jednak i w naszym kraju, więc stwierdziłam, że podejmę próbę odczarowania zwyczaju dawania sobie prezentów i stworzę listę świątecznych bezprezentów. Takich, które nie zostawiają śladu węglowego.



## Zasadzenie dla kogoś drzewa.

Skorzysta na tym cały świat, ale jeżeli obdarowanej osobie miły jest los naszej planety, powinna się ucieszyć. Wersja deluxe: jeśli się ma, można przekazać jakiejś fundacji mały kawałek ziemi i ustanowić na nim obywatelski rezerwat.

**Bony i vouchery.** Na swoje urodziny zazwyczaj proszę znajomych, żeby wsparli jakąś konkretną organizację charytatywną. Można też dać komuś kupon na swój czas – obietnicę zajęcia się dzieckiem, żeby przyjaciele mogli wyjść na randkę, opieki nad zwierzęciem podczas wyjazdu, podlania kwiatków. Albo po prostu na spędzenie czasu razem.

**Adopcja tygrysa.** Albo foki, wilka, rysia, a nawet morświna. Bez obaw, nie przyciągniemy tym zainteresowania obrońców praw zwierząt. Wręcz przeciwnie. Ja korzystałam z opcji Pomagaj z WWF, ale bez problemu znajdziecie inne organizacje, które robią podobne rzeczy. Można stworzyć specjalny certyfikat prezentowy i – oprawiony w ramkę – dać przyjacielowi.

**Książka.** Prezent materialny, ale książek w domu nigdy za wiele. Może być z recyklingu, czyli wirtualnego albo stacjonarnego antykwariatu. Z zachętą, by puścić ją potem dalej w obieg. W ramach autopromocji polecam własny poradnik: *Jak uratować świat? Czyli co dobrego możesz zrobić dla planety.*

**Bilet do teatru.** *In blanco* albo na konkretne przedstawienie z repertuaru na 2020 rok. W Warszawie polecam ten w Nowym Teatrze.

**Egzemplarz „Pisma”.** Polecam akcję zapoczątkowaną przez jedną z czytelniczek – „Oddaj «Pismo» sąsiadowi (lub sąsiadce)!”. Puść w obieg archiwalne numery. Może w Twojej okolicy jest ktoś, kto chętnie do nich zajrzy – sąsiadka z bloku obok, dziadek lub nastoletni syn znajomych? Pamiętaj, „Pismo” to magazyn bez terminu ważności.





**Zdrowie.** Kiedy ktoś narzeka na brak czasu dla siebie, dobrym pomysłem jest kupienie mu karnetu na jogę, masaż albo wizytę w salonie spa. Czasami trzeba potem dopilnować, żeby prezent został wykorzystany przed upływem terminu ważności, ale czego się nie robi dla dobrostanu najbliższych? Bliskiej osobie można też wykupić pakiet badań kontrolnych.

**Ekogadżety.** Święta to dobry pretekst, by wyposażyć do tej pory opornych członków rodziny czy przyjaciół w startowy zestaw *zero waste*. Metalowa butelka zamiast plastikowych, zestaw woreczków na zakupy (najlepiej robionych samemu), szampon w kostce (tak, już są). W internecie pełno jest adresów małych, rzemieślniczych zakładów, które produkują wegańskie i wegetariańskie kosmetyki. Czytajcie jednak dokładnie ich składy, przyglądajcie się opakowaniom (szkło, a nie plastik) żeby nie dać się nabrać na *greenwashing*, czyli ekościemę.

**DIY,** czyli swojskie zrób to sam. Jeżeli lubimy tworzyć, to mamy pole do popisu. Świece, ciasteczka, wspomniane torebki na zakupy – ta lista się nie kończy. Taki samodzielnie zrobiony prezent będzie bardziej cieszył niż nowy z metką.

**Weganizacja** mojej rodziny to już świąteczny standard. Od kilku lat na wigilijnym stole łąduje seler po grecku. Jeszcze nikt się nie zorientował, że pod marchewką nie leży ryba. Po udanej degustacji wegańskiego bigosu możemy dać ulubionemu mięsożercy zaproszenie na wegańskie sushi, bon na warsztaty kulinarne czy jedną z wielu świetnych książek kucharskich (jeżeli jeszcze jakimś cudem nie ma w domu *Jadłonomii* Marty Dymek).

**Pakując nasz podarunek,** pamiętajmy o szanowaniu zasobów. Zamiast jednorazowego papieru (który tylko wydaje się papierowy, ale jest powleczonej warstwą plastiku, więc wylądowuje w kubie z frakcją śmieci zmieszanych) popuścimy wodze wyobraźni i użyjemy starych gazet (ilustracje w „Piśmie” świetnie się do tego nadają – wytwórnia Oto mydło pakuje swoje produkty w pismowe strony). Albo zainspirujmy się japońską sztuką *furoshiki*, czyli owijania prezentów w kawałki materiału, które potem możemy ponownie wykorzystać.

Pamiętajcie, w Święta nie chodzi o stanie godzinami w kolejkach, by kupić cokolwiek, a o wspólne oglądanie *Kevin a samego w domu* w piżamach, nad jedzeniem pozostałym z Wigilii. Jeśli nie przejecie wszystkiego, przekazcie resztę jadłodzielniom. Liczba takich miejsc stale rośnie, tak jak grono wkręconych w ideę *foodsharingu*, czyli dzielenia się posiłkami i półproduktami – nie tylko od święta.

Świat najlepiej zmieniać, dając samemu dobry przykład. A więc do dzieła! W tym roku wy, a w przyszłym może kolejni członkowie rodziny przekonają się do takiego bezprezentowania.



**ARETA SZPURA** (ur. 1992), aktywistka ekologiczna. Pracowała jako specjalistka od mediów społecznościowych dla takich marek jak Sinsay, New Look czy H&M. W 2017 roku odeszła z założonej przez siebie firmy Local Heroes, żeby działać na rzecz ratowania planety.

MIGRACJE

# Mosul

zdjęcie i tekst KAROL GRYGORUK/RATS

---

Nofa straciła dwójkę dzieci w ataku lotniczym, uciekając z oblężonego Mosulu. Dziś, z tymi, którzy przeżyli walki, mieszka w jednym z wielu irackich obozów dla IDP.

*Internally Displaced Person*, bo to oznacza ten skrót, to techniczne określenie uchodźczyń i uchodźców wewnętrznych, zmuszonych do ucieczki, ale wciąż pozostających w obrębie swojego kraju.

Dziś szacuje się, że tym terminem objętych jest ponad 41 milionów ludzi na świecie. Formalnie nie przysługuje im status uchodźcy. Każdego dnia ponad 37 tysięcy osób zmuszonych jest do opuszczenia swoich domów w związku z wojną, przemocą i głodem.

WSPÓŁPRACA:

minority  
rights  
group  
international



# Postanowienie

tekst BARBARA SADURSKA

Sześć miesięcy temu, w niedzielę, czterdziestoletni mężczyzna dokonał czynów wyczerpujących znamiona przestępstwa z artykułu 196 Kodeksu karnego, czyli niszczenia przedmiotów kultu religijnego. W stroju robotnika budowlanego wkroczył podczas pogrzebu na teren miejscowego cmentarza i w sposób fachowy przystąpił do demontażu przedmiotów kultu religijnego, w szczególności rzeźb aniołów i krzyży. Na pytanie proboszcza, co robi, odpowiedział, że wykonuje rozkazy. Po zebraniu materiału dowodowego prokurator postawił go w stan oskarżenia, mimo iż mężczyzna twierdził, że działał pod wpływem przymusu. Od dłuższego czasu słyszał głosy rozkazujące mu zniszczyć symbole śmierci, które zagrażały jemu i jego rodzinie. Oskarżonemu grozi kara pozbawienia wolności do lat dwóch.

Sąd skierował oskarżonego na obserwację psychiatryczną. Po ośmiu tygodniach obserwacji biegli wydali opinię stwierdzającą u oskarżonego schizofrenię z urojeniami przy jednoczesnym ostrym stadium nerwicy lękowej. W takim razie dzisiaj będzie można wydać postanowienie o umorzeniu postępowania i skierowaniu oskarżonego na przymusowe leczenie.

DWA LATA TEMU, w słoneczny, wrześnieowy dzień, pięciu członków legalnej organizacji

paramilitarnej pobiło dziennikarza miejscowej gazety, który robił zdjęcia podczas przemarszu ich ugrupowania główną ulicą miasta. Do zdarzenia doszło naprzeciwko kawiarni, w której dwanaście osób akurat piło kawę i jadło lody przy stolikach wystawionych na rogu. Zdarzenie trwało jedenaście minut. Tyle czasu zajęło sprawcom skopanie sprawnego fizycznie, zdrowego, trzydziestopięcioletniego mężczyzny i uczynienie z niego inwalidy.

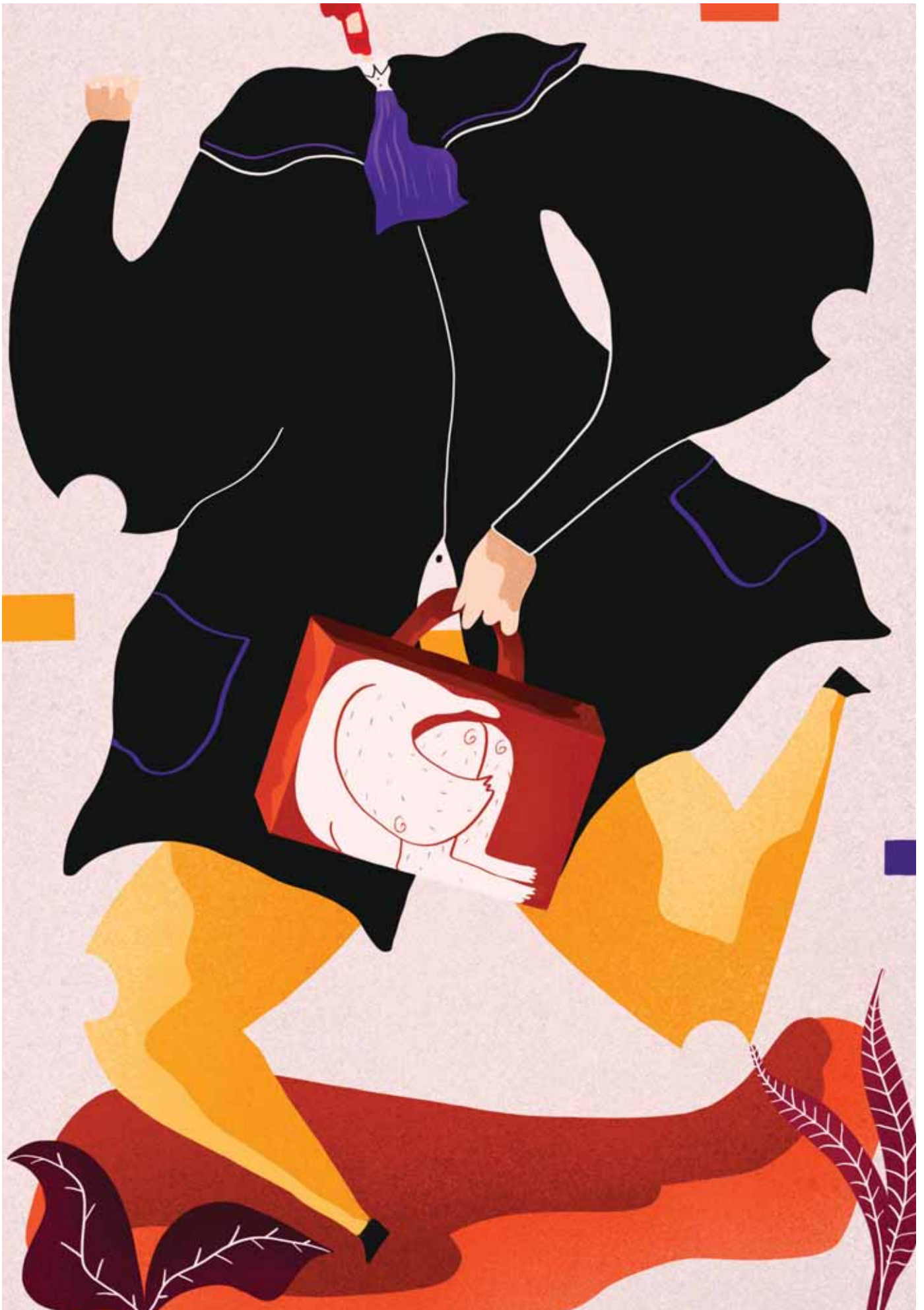
Żaden z dwunastu gości kawiarni nie widział zdarzenia. Przez jedenaście minut patrzyli w inną stronę. Kelnerki zeznały, że akurat wtedy wszystkie były w toalecie. Jedna przeglądała Facebooka. Począwszy od siódmej minuty zdarzenia najmłodszy z oskarżonych, dziewiętnastoletni Oskar Z., dokonywał metodycznego niszczenia mienia uszkodzonego dziennikarza. Wysokimi, wojskowymi butami skakał po jego telefonie, kilkakrotnie rzucił aparatem fotograficznym marki Canon o ścianę przeciwległego budynku, portfel wraz z dokumentami wrzucił do kratki kanalizacyjnej. Świadkowie powołani przez obronę zeznali, że nie brał czynnego udziału w pobiciu. On sam jednak z dumą stwierdził, iż był „pierwszym, który dokopał temu skurwielowi. To jego podkuty but zmiażdżył mu twarz”. Adwokat podważył prawdziwość tej wypowiedzi. Zaznaczył, że była wygłoszona pod wpływem emocji w celu zaim-

ponowania starszym kolegom i wykazania się odwagą. Podnosił, iż jego klient nie brał udziału w czynnej napaści na osobę uszkodzonego. Wnioskował o wyłączenie jego sprawy do osobnego rozpatrzenia.

Wyjaśnienia te nie znalazły potwierdzenia w nagraniach miejskiego monitoringu, o udostępnienie których zwrócił się sąd. Powiększenie obrazu powoduje co prawda znaczne pogorszenie jakości, a na zatrzymanych kadrach nie widać twarzy sprawców, jednak na białoczarnych nagraniach można w pewnym momencie rozpoznać postać dziewiętnastolatka. Wtedy, gdy depcze twarz leżącego na ziemi mężczyzny.

Sąd nie przychylił się do wniosku obrońcy o zwolnienie oskarżonych z aresztu za poręczeniem. Po dwóch latach Oskar Z. został skazany na karę pięciu lat bezwzględnego pozbawienia wolności i był to najłagodniejszy z wyroków wydanych w tej sprawie. Wyrok został ogłoszony na rozprawie dwa tygodnie temu. Dzisiaj upływa termin jego uzasadnienia.

MIESIĄC TEMU, 22 LISTOPADA, do sądu wpłynął wniosek sześćdziesięcioletnika, skazanego na sześć lat pozbawienia wolności z powodu rozboju i użycia gróźb karalnych, o warunkowe, przedterminowe zwolnienie z zakładu karnego po odbyciu trzech czwartych wy-



mierzony kary. Skazany oświadcza, że pobyt w więzieniu odniósł skutek resocjalizacyjny, na dowód czego przedkłada opinię psychologa więziennego i dyrektora zakładu karnego. Jeśli wniosek zostanie rozpatrzony dzisiaj, skazany zostanie wypuszczony na wolność w sylwestra. Ciekawe, dlaczego skazany wołał wyjść na wolność w sylwestra, a nie w Wigilię? Wystarczyłoby, aby złożył wniosek 15 listopada. Czy coś stało na przeszkodzie? 30 listopada sąd zlecił przeprowadzenie wywiadu środowiskowego w otoczeniu rodziny skazanego.

Dzisiaj na posiedzeniu niejawnym zostanie wydane postanowienie w tej sprawie.

I będzie to ostatnie postanowienie w twoim życiu.

—  
TWOJA OBECNOŚĆ W MIESZKANIU sprawia, że twierdzenie, jakoby było ono puste, jest nieprawdziwe. Podobnie rzecz się ma z ciszą. Zdanie: „W mieszkaniu panowała całkowita cisza” jest nie do obrony. Nawet jeśli śpisz, twój oddech nie jest bezszelestny. Nie mówiąc o uderzeniach serca czy szmerze płynącej tętnicą szyjną krwi. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie zaznałeś ciszy. Choć dopiero od niedawna odczuwasz jej brak jako coś niepokojącego.

Poranne czynności zajęły ci dzisiaj więcej czasu niż zwykle nie dlatego, że wykonywałeś je wolniej, ale dlatego, że się na nich wyjątkowo koncentrowałeś. Starasz się przy tym zachowywać jak najciszej. Sąsiedzi jeszcze spali.

Otworzyłeś oczy trzydzieści sekund przed dźwiękiem budzika, jak zawsze. Dzisiaj jednak zrobiłeś to z pełną świadomością. Tak jakbyś w ogóle nie spał tej nocy. Wyłączyłeś budzik, zanim rozległ się alarm. Wskazówki tworzyły jedną, prostą, czarną linię pomiędzy piątką a szóstką, co oznaczało godzinę piątą dwadzieścia siedem.

Nalałeś wodę do czajnika, przygotowałeś zieloną herbatę i grzankę z jajkiem na śniadanie. Pokroiłeś pomidora w ćwiartki. Podczas jedzenia znalazłeś co najmniej trzy argumenty przemawiające za takim posiłkiem. Miałaś je już sformułowane, w razie gdyby padło pytanie. Nie padło. Naczynia umyłeś pod bieżącą wodą i odstawiłeś na ociekacz. Gdy wrócisz za jedenaście godzin, będą już suche.

W łazience przyjrzałeś się swojej twarzy. Była to twarz obcego ci człowieka. Codziennie rano musiałeś patrzeć mu w oczy i codziennie mógłbyś przysiąc, że widzisz go po raz pierwszy. Nigdy wcześniej go nie spotkałeś, prawda? A jednak wszyscy cię w nim rozpoznawali bez trudu. Kłaniali się mu, nawet znali jego obyczaje. Sprzedawczyni na rogu zostawiała dla niego twoje ulubione gazety. Musiał być to zatem nie lada kuglarz, skoro tak udalnie podszycił się pod ciebie. Puściłeś w jego stronę oko. Odpowiedział ci ironicznym uśmiechem i nadstawił drugi policzek, abyś go mógł ogolić. Zrobiłeś to bardzo delikatnie. Brzytwa cicho trzeszczała na twarzym zarostcie.

Potem wziąłeś chłodny prysznic. Patrzyłeś, jak strumyki wody płyną po chudych, pokrytych rzadkimi, siwymi włosami gołeniach. Miałaś długie, blade nogi i śmieszne, szerokie stopy zakończone wąskimi palcami. Bez trudu sam sobie obcinałeś paznokcie, zrogowaciałe, o kolorze nienaturalnie białym. Patrzyłeś teraz na nie i układałeś w głowie uzasadnienie, dlaczego twoje paznokcie mają taki kolor. Jakbyś się tłumaczył przed patologiem! Jakbyś chciał mu udzielić informacji, że w dzieciństwie twoje ciało było wystawione na długotrwałą, dotkliwą mróz i od tamtej pory te paznokcie takie...



Dzisiaj stałeś pod chłodną wodą dwie minuty dłużej niż zwykle. Musiałeś wyjaśnić patologowi jeszcze inne fakty. Zadawał ci mnóstwo trudnych pytań. Na przykład chciał wiedzieć, czy jesteś leworęczny.

Założyłeś białą koszulę, dobrałeś do niej krawat i spinki. Wciągnąłeś spodnie. Ścisnąłeś je w pasie wąskim, czarnym paskiem.

Wyjąłeś z szuflady długie, wełniane skarpety w romby. Przetarłeś czarne buty. Kilka czułych pociągnięć szczotką przywróciło ich skórze blask. Dawniej, kiedy miałeś psa, kilka ruchów ręką po wielkim łbie sprawiało, że jego sierść zaczynała błyszczeć. Zawiązałeś lniane sznurowadła nie na kokardkę, jak to robią przedszkolaki, lecz na podwójny węzeł szotowy. Zapiąłeś górny guzik marynarki. Nakręciłeś tissota kupionego w latach 40. Dostałeś go od ojca chrzestnego, który przed wojną był znanym cywilistą w lwowskiej radzie adwokackiej. Zaciśnąłeś wysłużony pasek zegarka na prawym nadgarstku. Poprawiłeś rękawy koszuli. Wyjąłeś z szafy popielaty szalik i filcowy kapelusz, bardzo miękkie. Zarzuciłeś na ramiona ciężki, grafitowy płaszcz. Wziąłeś z fotela stojącego w holu zniszczoną, brązową aktówkę z wytartym uchwytem. Zamknąłeś za sobą drzwi. Wszystkie te czynności wykonywałeś z wyjątkową koncentracją. Starannie i w skupieniu. Bardzo cicho. I pomimo tego na schodach dopadł cię głos dochodzący z góry, zza drzwi.

– Cisza! – warknąłeś, czym tylko rozłłściłeś samego siebie. – Cicho bądź – powtórzyłeś głośniejszym głosem przez zaciśnięte zęby.

Czy podziękowałeś za zegarek?

—  
PRZED SĄDEM ZAPARKOWAŁEŚ minutę po szóstej. Strażnik dopiero otwierał drzwi. Postanowiłeś poczekać w samochodzie, aby go nie speszyć swoją obecnością, aby nie wprawić go w zakłopotanie faktem, że spóźnił się dzisiaj o minutę. Wyłączyłeś silnik i światła i siedziałeś w środku z rękami opartymi na kierownicy. Na siedzeniu pasażera obok ciebie leżała brązowa aktówka. Dostałeś ją od swojego patrona w dniu egzaminu sędziowskiego. Włożyłeś do niej wtedy zielony dowód osobisty i Kodeks postępowania karnego, twój najmocniejszy punkt. Profesor Weiss cienkim, drżącym głosem zapytał cię na koniec, dlaczego wybrałeś zawód sędziego. I wtedy najpierw usłyszałeś odpowiedź, a potem powtórzyłeś ją jak papuga: „Gdyż słowo prawa kreuje rzeczywistość, panie profesorze, a brać odpowiedzialność za kształtowanie rzeczywistości społecznej to największy zaszczyt” – powiedziałeś i to było to, co profesor chciał usłyszeć.

Tak naprawdę chciałeś zostać pisarzem. Bałeś się jednak głosów, które mógłbyś



w ten sposób uwolnić. Słowa wypuszczone na wolność mogą być bardzo niebezpieczne. Bałeś się, prawda?

Uderzyłeś rękami w kierownicę. Prawda.

Siedziałeś więc w samochodzie wczesnym zimowym rankiem przed budynkiem sądu okręgowego ze świadomością, że po Bożym Narodzeniu nie wrócisz już do pracy, że to ostatni dzień w twoim życiu, że to już koniec.

Rzuciłeś okiem w lusterko wsteczne i zobaczyłeś w nim obcy wzrok.

Ktoś mógłby pomyśleć, że starszy pan w jedwabnym szaliku na szyi i filcowym kapeluszu na głowie nie wysiada, bo w aucie jest ciepło, a na zewnątrz panuje mróz. Nic bardziej mylnego. Twoje wnętrze było skute lodem, przerażenie mroziło krew w żyłach, strach zapierał ci dech w piersiach. W porównaniu z tym świat zewnętrzny wydawał się rajem.

Dopiero gdy strażnik w czarnym mundurze otworzył drzwi sądu, wysiadłeś z auta i sprężystym krokiem wszedłeś do dobrze znanego budynku.

– O, pan sędzia jak zwykle pierwszy – powitał cię z szerokim uśmiechem.

– Nieprawda! – zaprzeczyłeś lojalnie. – Pan był jak zawsze przede mną. – Uściśnięliście sobie ręce. Jego dłoń była mocna i kwadratowa, twoja wąska i zylasta.

Winda wjechała na szóste piętro. Długim korytarzem doszedłeś do gabinetu na jego końcu. Własnym kluczem otworzyłeś drzwi. Wewnątrz panował mrok grudniowego przedświt i zapach kurzu szarych, teksturowych teczek wiązanych poźółklymi, za krótkimi tasiemkami. Rozwiązanie takich tasiemek bywało czasem trudniejsze niż rozstrzygnięcie najbardziej zawiłych spraw. Nikt tego nie wiedział lepiej od ciebie. Nikt?

– Milcz – odezwałeś się, siadając w swoim fotelu na wprost okna, z którego rozciągała się imponująca panorama na zachodnią część miasta, na jego dachy, wieże, kominy i dalej na wzgórza, las na horyzoncie, a powyżej – na linię chmur. Wszystko utrzymane w monochromatycznych odcieniach dymów i mgieł. Układ trzech planów. Jak w dobrym kadrze filmowym, w którym nie chodzi o oddanie emocji ani zaznaczenie bliskości, lecz ogląd całości, szeroki rzut sytuacyjny. Brakowało tylko lokomotywy wjeżdżającej z lewej strony ekranu.



Na biurku leżały akta spraw, którymi postanowiłeś zająć się dzisiaj. I dzisiaj je zakończyć.

Żadna sprawa oczywiście nigdy nie kończy się definitywnie. Można ją zakończyć jedynie na tym etapie lub w tej instancji. Jednym słowem zamyka się skazanego w zakładzie karnym, zwraca mu wolność lub kieruje na przymusowe leczenie. Czy to jednak kończy sprawę? Odwrotnie. Zaczyna.

Nawet śmierć niczego nie kończy, prawda?

– Zamknij się – rzuciłeś polecenie.

W porządku.

Przystąpiłeś do pracy. Ciekawe, dlaczego zacząłeś od orzeczenia psychiatrów, w którym szczegółowo opisane zostały objawy urojeń swoistych dla schizofrenii oraz efekty zastosowanego leczenia doraźnego? Czytałeś to trzykrotnie.

– W kilku miejscach musiałem cytować orzeczenie psychiatrów – wyjaśniłeś, wyjmując z brązowej aktówki pióro i podpisując postanowienie o skierowaniu oskarżonego z artykułu 196 Kk na dalsze przymusowe leczenie. Twój głos brzmiał obco w pustym sędziowskim pokoju na szóstym piętrze sądu okręgowego, ponad dachami kamienic i kościołów spowitych ciemnym, nieruchomym powietrzem.

Dochodziła ósma, budynek sądu powoli się zaludniał. Winda jeździła w górę i w dół. Sekretarze rozwozili akta, aplikantki szurały krzesłami w czytelnii. Przeciągnąłeś się i postanowiłeś zrobić sobie przerwę. Idąc do toalety, wstąpiłeś do sekretariatu.

– Pani prezes prosiła, aby pan sędzia do niej zajrzał w wolnej chwili – powiedziała na powitanie sekretarka, inteligentna czterdziestolatka o urodzie Brigitte Bardot. – Pani prezes nie chciała panu przeszkadzać w pracy – dodała.

– Dobrze, pójdę do niej – obiecałeś. – Proszę nadać dalszy bieg postanowieniu, które podpisałem. W aktach są adresy doręczeń.

Powiedziałeś to, choć wcale nie musiałeś. Zna swoją robotę równie dobrze jak ty swoją. Uśmiechnęła się więc tylko i ciszej dodała:

– Będzie nam pana brakowało.

PREZESKA CHCIAŁA CI powiedzieć, że dwudziestego ósmego wydaje bankiet pożegnany z okazji twojego odejścia. I że będzie dla niej zaszczytem, jeśli się na nim pojawisz. Uśmiechnąłeś się potwierdzająco. Swoją obecność zgłosili wszyscy pracownicy sądu, od ochrony po przewodniczących wydziałów. Zrobiłeś minę, jakby było ci bardzo miło. Oraz wszyscy prokuratorzy i adwokaci, którzy kiedykolwiek mieli przyjemność uczestniczyć w twoich rozprawach. Chrząknąłeś z zakłopotaniem.

– Dwudziestego ósmego grudnia – powtórzyła i uściśnęła ci dłoń.

WRÓCIŁEŚ DO SWOJEGO GABINETU całkowicie rozbity. Usiadłeś przy biurku i spojrzawszy przez okno. Nisko zawieszona słońce z trudem przedzierało się przez gęsty kokon mgły. Pół godziny temu powinieneś być zabrać się do uzasadnienia wyroku skazującego dziewiętnastolatka na pięć lat pozbawienia wolności bez zawieszenia, ale trzęsły ci się ręce i nie potrafiłeś rozwiązać supła na aktach tej sprawy. Pomarszczone dłonie starca, naznaczone ciemnymi plamami nierówno rozłożonego pigmentu, długie, pokrzywione palce na próżno szarpiające postrzępioną tasiemkę. Zachowywały się, jakby należały do kogoś innego.

Uzasadnienie miałeś ułożone w głowie. Siedem stron analizy prawnej, jakieś pięć, pięć i pół godziny pisania. Wyrok jest surowy, z pewnością trafi do apelacji i wróci stamtąd do ponownego rozpatrzenia, ale ciebie już wtedy nie będzie.

Czyli gdzie będziesz, jak ciebie nie będzie?

– Spierdalaj – mówisz na głos i rzucasz aktami o stół.

W tym momencie otworzyły się drzwi i asystentka wniosła filiżankę zielonej herbaty.

– Herbata dla pana sędziego, jak zwykle o dziewiątej.

Podziękuj.

– Herbata. Dziękuję – powtórzyłeś. Bardzo dobrze.

– Czy mogłaby mi pani pomóc rozwiązać tę cholerną tasiemkę? – poprosiłeś zirytowany, a ona bez trudu pociągnęła jeden troczek i cały węzeł puścił.

– Z przyjemnością, proszę bardzo – podała ci akta i wyszła.

Ponownie zostałeś sam.

Czyli gdzie wtedy będziesz?

GDY WYJDZIE NA WOLNOŚĆ, chłopak będzie miał dwadzieścia cztery lata, całe życie będzie miał jeszcze do przeżycia. W miarę, jak piszesz, narasta w tobie ochota, aby przypierdolić mu kolejnych dwadzieścia pięć lat. Albo prewencyjnie dożywocie. Żeby nie przeżył ani jednego dnia jako wolny człowiek. Żeby cały czas ktoś na niego patrzył, ktoś go podsłuchiwał, ktoś go pilnował. Żeby nie miał ani chwili spokoju od piątej dwadzieścia siedem do ciszy nocnej o dwudziestej drugiej. Żeby cały czas słyszał tych dwunastu, którzy siedzą przy kawiarzanych stolikach i piją kawę, żeby mu bez przerwy opowiadali, żeby nigdy nie pozwolili mu zapomnieć.

Herbata ci wystygła. O czternastej podniosłeś filiżankę do ust. Wydrukowałeś uzasadnienie i, czytając, naniosłeś poprawki. Pół godziny później podpisane złożyłeś w sekretariacie.

– Gdzie pan spędza Wigilię? – zapytała cię Brigitte Bardot, zaznaczając stronę uzasadnienia kolorową karteczką.

– Jak zwykle, wybiorę się do siostry.

A właśnie. Musisz dziś jeszcze pojechać do niej na cmentarz.

NA KONIEC ZOSTAŁO ci postanowienie o warunkowym przedterminowym zwolnieniu z dalszego odbywania kary pozbawienia wolności tego sześćdziesięcioletka, który dokonywał rozbojów w swojej wsi i groził sąsiadom.

Na biurku leżał raport z wywiadu środowiskowego w otoczeniu skazanego. Wziąłeś go do ręki. Przecież wiesz, co tam jest napisane. Przecież wiesz, dlaczego nie chce



wracać do domu na święta. Przecież wiesz, po co wychodzi w sylwestra. Przecież wiesz. Nie wiesz?

– Wiem – rzuciłeś przez zaciśnięte zęby i udawałeś, że czytasz dalej, ale nie mogłeś się skupić.

Musiałeś go wypuścić. Nie było przesłanek, aby tego nie zrobić. Prawda?

„Brak przesłanek – napisałeś w uzasadnieniu – do dalszego odbywania kary w warunkach zakładu karnego”.

Dałeś wiarę opinii psychologa i dyrektora zakładu karnego, pomimo że z raportu środowiskowego patrzył na ciebie człowiek, który nie ma nic do stracenia, samotny, odrzucony. Bez środków do życia. Uzależniony od przemocy i alkoholu. Na zewnątrz nie czekał na niego nikt. „To postanowienie to wyrok śmierci” – pomyślałeś, podpisując.

Dla niego wolność równa się śmierci.

Dla ciebie śmierć to więcej niż wolność.

Tak pomyślałeś i podpisałeś.

Zbliżała się szesnasta.

I było to ostatnie postanowienie w twoim życiu.

NA CMENARZU 23 GRUDNIA kręciło się mnóstwo ludzi. Tu i ówdzie płonęły znicze. Prószył rzadki, brudny śnieg i zmarzły ci nogi, kiedy szedłeś cmentarną alejką w stronę rodzinnego grobu, w którym leżała twoja siostra. Postąłeś nad nim chwilę, położyłeś gałązkę z bombkami, namiastkę choinki, spod której wyciągaliście prezenty. Rodzice są pochowani na Ukrainie, tutaj została tylko ona i ty. Tylko ty. Prawda?

– Tylko ja – potwierdziłeś. Kilka osób obejrzało się w twoją stronę. Przeżegnałeś się lewą ręką i ruszyłeś w powrót.

Dawniej, kiedy miałeś psa i trzymałeś go przy lewej nodze, łatwiej ci było zapamiętać, którą ręką robi się znak krzyża.

„Psy tak krótko żyją” – myślałeś, wychodząc z cmentarza.

A jednak wiedząc, że umrzesz, nie mogłeś sobie pozwolić na kolejnego, nie mogłeś zostawić go w mieszkaniu z ciałem obcego osiemdziesięcioletniego mężczyzny leżącym na posadzce w łazience. W kałuży krwi.

Poranne czynności zajmują ci dzisiaj więcej czasu niż zwykle nie dlatego, że wykonujesz je wolniej, ale dlatego, że się na nich wyjątkowo koncentrujesz. Starasz się być przy tym możliwie jak najciszej. Sąsiedzi jeszcze śpią.

CZY DENAT BYŁ LEWORĘCZNY? – chciał wiedzieć patolog badający linię brzytwy na jego gardle. A przecież wszystko mu wyjaśniłeś. Tak pięknie mu wszystko wyjaśniłeś.

• Sprawdzamy wszystkie informacje.

• Stawiamy ważne pytania.

• Docieramy do źródeł.

• Niepartijnie. Obiektywnie.

• Rzetelnie.

Zamów roczną prenumeratę  
na [magazynpismo.pl/prenumerata](http://magazynpismo.pl/prenumerata)  
papier | audiobook | ebook | archiwum

5% rabatu



**MARCIN WICHA**

(ur. 1972), grafik, projektuje okładki, plakaty, znaki graficzne. Pisarz. Nagrodzony Paszportem „Polityki” 2017 w kategorii literatura. Laureat Nagrody Literackiej Nike 2018 za *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*.

# Opowieść

**N**awet nie podejrzewacie, że to już ostatni raz. Zorientujecie się za rok. Na razie jest jak zawsze. Jak poprzednio. Jakaś środa lub czwartek, bo komu by się chciało w weekend. I oczywiście o trzeciej po południu, więc musicie się zwolnić z roboty.

To jeden z tych dni, kiedy słońce prawie nie wychodzi. Zapala się powoli jak energooszczędna żarówka. Już by lepiej zgasało. Niechby zapadła ciemność, niechby nas okryli pokrowcem, zapakowali w pudła, odstawili do magazynu. Niech nam na jakiś czas oszczędzą Polski. Ciemnych miesięcy od Marszu Niepodległości do Nocy Muzeów.

Stoicie w korku. Tego dnia popołudniowe korki zaczynają się o ósmej rano. Radio nadaje wiadomości z kraju. Przymrozki, opady, pyły zawieszane. Smog bije nowe rekordy. Mamy szansę na czarny pas w dziedzinie zanieczyszczeń. Uwaga. Znaczne utrudnienia w ruchu. Stoją obie strony.

(Korek).

W supermarketach zainstalowali już baseny z karpiami. Karpie toną w polskiej tradycji (jak my wszyscy).

Na trawnikach wyrosły drzewa. Świerk norweski od studentów. Sosna z Puszczy Białowieskiej. Modrzew z wolnego wybiegu. Między nimi grasuje facet z siekierą. Ma specjalną sieć do pętania choinek. W wigilię rano będzie już przemarzniętym wrakiem. Rozdygotanym weteranem dwutygodniowego ciągu. Sprzeda wam ostatnią jodłę. Drżącą siekierą obrobi końcówkę, żeby pasowała do stojaka. Wesołych i siego. Wzajem!

(Nadal korek).

Teraz przypominają wam się wszystkie amerykańskie filmy o dzieciach i szkolnych koncertach. Jesteście tymi rodzicami, którzy zawiedli. Nie przyjechali na czas. Nie wysłuchali solo na altówce. Gdzie tatuś? Znowu zapomniiał, ma ważniejsze sprawy. Zbliżenie na wyrzuty sumienia.

(Korek, ale jakoś dążycie).

W szkole witają was setki papierowych mikołajów z doklejonymi brodami z waty. Wszystkie identyczne. Oglądacie plon konkursu na szopkę dla klas I–III. Wygrywa dwumetrowe monstrum wykonane laubzegą. Jury szczególnie doceniło sztuczne oświetlenie. Rodzice Marcelinki musieli zacząć robotę w lipcu. Wasza szopka nigdy nawet nie weszła do finału.

Wuefista naciska przycisk play. Bracia Golcowie w szczytowej formie. Dzieci odgrywają swoje role. Rodzice szaleją z telefonami. Niektórzy mają kamery. Ktoś przyniósł statyw. Też robicie kilka zdjęć, ale nie potraficie się dopchać do szopki. Zostaje kilka nieostrych fotografii. Wasze dziecko jest rozmazaną smugą w grupie pasterzy. Większość kadru wypełnia kark jakiegoś ojca i czyjeś skrzydło z krepiny.

Matki z komitetu rodzicielskiego nakrywają ławki. Choinka plastikowa, kabelek się przetaił, ale jeszcze kilka lat trochę posłuży. Komu bigosiku? Rodzice gwarzą. Komitet rodzicielski napięł makowca. Jest też kopiec kreta i ciasto Szrek, które drży od zielonej galaretki. A wy znowu daliście dzieciakowi mandarynki. Nigdy nic nie upiekliście, może kiedyś pierniczki, jeszcze w przedszkolu.

Wszystko jak zawsze.

**A POTEM JEST TEN NASTĘPNY ROK**, nowa szkoła i koniec ze świątecznymi przedstawieniami. Szlus z Mikołajem, kalendarzem adwentowym, jasełkami. A potem dziecko jest już w zasadzie dorosłe. Mogłoby się wyprowadzić.

– Wracam późno. Zjem coś na mieście – mówi, wychodząc.

– Nie ganiaj za autobusem – wołacie. – Za pięć minut będzie następny.

(Naprawdę chcielibyście powiedzieć: to nie ma znaczenia. Jeszcze tyle razy się spóźnisz. Tyle autobusów ci ucieknie. Tyle razy wpadniesz po dzwonku do pustej szatni. Biegiem do klasy. Pani jeszcze nie będzie. Coś ją zatrzyma w pokoju nauczycielskim. Może nie zdąży sprawdzić listy. Może sprawdzi listę i postawi ci spóźnienie. Zapomnisz o tym jeszcze przed obiadem. Wieczorem na pytanie: „Jak w szkole?” – wrzuszysz ramionami).

– Pamiętaj, nie biegaj za autobusami – i jeszcze chcielibyście dodać, że wiosna w końcu przychodzi. Prawda zwycięża (czasami). Na składkowe wigilie najlepsze są mandarynki.

– Co?

– Nie biegnij, ok?

– Tak.

(Słyszycie, jak zbiega po schodach).

REPORTAŻ

# Suche bagno

*tekst i fotografie* FILIP SPRINGER  
*współpraca* ANDRZEJ MUSZYŃSKI

---

NA POŁUDNIU EUROPY nie ma torfowisk. W Polsce wkrótce może być podobnie. Te, które mamy, po prostu wyschną, a zmagazynowany w nich węgiel uleci do atmosfery.



---

Most nad Narwią w miejscowości Bronowo. Za nim rozpościera się kilkanaście tysięcy hektarów torfowiska osuszonego na potrzeby kombinatu łąkarskiego Wizna.



Stoję na szczycie wydmy i patrzę na północ, w głąb nadnarwiańskiej równiny. Za moimi plecami rozciąga się bezkres wysychającego torfowiska, efekt chybionego eksperymentu agrotechnicznego. W oddali, za rzeką, połyskują bielą zabudowania Wizny. Przyjechałem tutaj, bo to jedno z tych miejsc, w których nasze grzechy z przeszłości wracają jako zapowiedź ponurej przyszłości. To ostatni etap mojej podróży śladami katastrofy klimatycznej w Polsce. Ten, który dotyczy sprzężeń zwrotnych związanych z ociepleniem klimatu.

Gdy stracimy nad nimi kontrolę, katastrofa przyspieszy.

MUSIMY JUŻ JECHAĆ – mówi Zenon Borawski, wylaniając się z za wydmy. Na szyi ma lornetkę, na nogach turystyczne buty. To on mnie tu przyprowadził. Urodził się i wychował w Wiźnie, w rodzinie rolniczej. Sam trochę gospodarzył, gdy ćwierć wieku temu niedaleko stąd powstawał Biebrzański Park Narodowy. Borawski zapisał się na kurs dla przewodników. Trochę z ciekawości, trochę z chęci dorobienia. Okazało się, że oprowadzanie turystów będzie wkrótce jego podstawowym źródłem dochodu. Bagna nad Narwią i Biebrzą to przyrodniczy skarb. Wiosną i jesienią aż się tu kołtują, zarówno od ptaków, jak i od ich miłośników.

– Jeszcze kilka lat temu cały ten teren był pełen rybitw czarnych, gniazdowały tu tysiącami – mówi Borawski. – Ale kolejne starorzecza są osuszane przez rolników, a rybitwy przestały się pojawiać. Mam znajomego ornitologa z Gdańska, niedawno tu przyjechał i popłakał się, gdy zobaczył, co się stało.

KILKADZIESIĄT MINUT PÓŹNIEJ zjeżdżamy z drogi krajowej numer 64 w stronę zrujnowanych zabudowań gospodarstwa hodowli bydła w Sulinie. Długie na kilkadziesiąt metrów betonowe obory zapadają się pod własnym ciężarem. Przez ich rumowiska trochę strach chodzić, każdy krok wznosi obłoczki azbestowego kurzu. Zakład był częścią Kombinatu Łąkarskiego Wizna, który powstał na początku lat 60. Byczki miały tu jeść trawę ze zmeliorowanych torfowisk.

Kombinat był eksperymentem. Gdyby się powiodł, miał zostać powtórzony także nad Biebrzą, na o wiele większą skalę. Dość szybko okazało się, jak przeszacowane były oczekiwania. Osuszone bagna nie dawały zakładanej ilości siana. Z prognozowanych 350 kwintali z hektara udało się wycisnąć ledwie 200–250 kwintali. Gwóźdź do trumny Sulina wbiła powódź w marcu 1979 roku.

Płynąca nieopodal Narew jest tu uregulowana. Tamtej wiosny przyroda z całą brutalnością przypominała o swojej sile: przedarła się przez wały, kra rozsadziła betonowe przepompownie i ruszyła na okoliczne wsie. Zalała też Sulin. Część zwierząt zdołano ewakuować, ale i tak utonęło blisko trzysta sztuk. Nie pomogło wojsko, miejscowa ludność ani przywiezione aż ze Stoczni Gdańskiej pompy.

– To wszystko się stało, bo rzucono w zwanie rzece. Wcześniej płynęła i wylewała swoim naturalnym rytmem. Ludzie, którzy tu żyli, znali go, wiedzieli, gdzie się budować, a które tereny jej zostawić – denerwuje się Borawski. On sam pamięta swojego dziadka, który latem pakował do tobołka koc, bochen chleba, kawał słoniny, brał kosę na ramię i zniknął na kilka dni. Szedł kosić łąki, siano układał w kopy i wracał do domu. Potem czekał na jesienne wezbrania, gdy rzeka zalewała niżej położone tereny. – Zwoziliśmy to siano łodziami, a gdy rozlewiska zamarzały, ciągnęliśmy je po lodzie na saniach i wozach.

Borawski nie pamięta, kiedy ostatnio wystąpiły takie jesienne wylewy. W tym roku

jego katamaran, którym wozi ornitologów po rzece, już w sierpniu stał się bezużyteczny. Poziom wody był tak niski, że nie dało się pływać.

– Im mniej wody, tym bardziej przesycają skarpy brzegowe. Piach się osypuje i tworzy mielizny. Rzeka dodatkowo się wypłyca – tłumaczy.

Regulacja Narwi, której efektem była wielka powódź z 1979 roku, to tylko niewielki fragment przeobrażeń, jakie przeszła ta okolica. Łącznie zmeliorowano tu ponad dziesięć tysięcy hektarów torfowisk i zamieniono je w łąki. W Grądach-Woniecku, niewielkiej osadzie na piaszczystej łące pośrodku bagien, wybudowano bloki dla pracowników PGR-u, dom kultury, hotel robotniczy i sklep.

„Gdy przystępowano do meliorowania i zagospodarowywania bagien, na Białostoczczyźnie znajdowało się sto tysięcy hektarów ziemi ornej źle wykorzystanej i kilkadziesiąt tysięcy hektarów ugoru. Więc nie potrzeba gospodarcza nakazywała podjęcie gigantycznych prac na moczarach i topieliskach” – pisał Dionizy Sidorowski w wydanej w 1980 roku reporterskiej książce o znamiennym tytule *Żywoty bagienne*. Nie szczędzi w niej słów krytyki autorom pomysłu osuszania narwiańskich mokradeł: „Co prawda nauka na wiele pytań dotyczących bagien nie umiała jeszcze odpowiedzieć (dotychczas zresztą nie potrafi), ale ten fakt czynił całe zadanie jeszcze bardziej atrakcyjnym – pokonać coś, co według powszechnej opinii jest nie do po-

W naturalnych warunkach torf przyrasta w tempie jednego milimetra na rok. Wiktor Kotowski i Łukasz Kozub wbijają świder w łąkę w pobliżu Grądów-Woniecka, by sprawdzić, jak gruba jest jego warstwa.





Nadgryzione przez bobry drzewo rosnące przy jednym z rowów odwadniających torfowisko.

konania. To byłby sukces, a i rezonans społeczny ogromny”.

GDY TORFOWISKA FUNKCJONUJĄ prawidłowo, a poziom wody utrzymuje się w nich na wysokim poziomie, sięgającym niemal samej ich powierzchni („zdrowy” torf, czyli przyrastający w tempie jednego milimetra na rok efekt rozkładu szczątków roślin, składa się z niej w dziewięćdziesięciu pięciu procentach), akumulują i przechowują węgiel ze szczątków roślin. Robią to nawet skuteczniej niż lasy deszczowe. Osuszone zaczynają jednak utleniać się i uwalniać węgiel w postaci dwutlenku, wprost do atmosfery. Te emisje sięgają trzydziestu ton rocznie z hektara. To mniej więcej tyle, co przejechanie w miarę nowym samochodem dwustu trzydziestu tysięcy kilometrów.

Dziesięć tysięcy hektarów dawnego Kombinatu Łąkarskiego Wizna to dziesięć tysięcy takich niewidzialnych samochodów krążących bez żadnego sensu po polskich drogach.

A to jeszcze nie koniec, bo gdy takie torfowisko zaorać albo obsadzić lasem, emisje na nim wzrastają do sześćdziesięciu, a nawet osiemdziesięciu ton rocznie. Proces utleniania przebiega wtedy szybciej, rośliny i orka ułatwiają bowiem ucieczkę wody z torfowiska.

Torfowiska w Polsce zajmują mniej więcej 1,3 miliona hektarów. Osiemdziesiąt cztery procent z nich już zamieniono na pola i łąki. Emitowany przez nie dwutlenek węgla stanowiłby aż osiem procent raportowanych przez Polskę emisji, gdyby go do nich wliczano. Polskie władze tego nie robią. Nie one jedne, większość krajów przekłamuje swoje raporty właśnie w ten sposób. Na świecie osuszono i przekształcono jedną piątą torfowisk. Powoduje to pięć procent światowej emisji dwutlenku węgla. Badacze przyglądają się z niepokojem zwłaszcza wielkim obszarom torfowisk na Syberii i w Kanadzie. Z powodu ocieplenia klimatu rozmarzają, w wyniku czego do atmosfery wydostaje się uwięziony w nich metan, który podgrzewa ją do dwudziestu, a nawet trzydziestu razy mocniej niż dwutlenek węgla. Ale te wielkie torfowiska też w końcu zaczną wysychać.

GRĄDY W. – tak jest napisane na tablicy wjazdowej. Jakby cała miejscowość była kryminalistą. Na dodatek z każdej strony strzegą jej połacie wysokiego na dwa metry, trującego barszczu Sosnowskiego. Zenon Borawski zatrzymuje się przy przystanku autobusowym, wysiadam. Zerkam na tabliczkę z rozkładem jazdy. Odchodzi stąd tylko jeden autobus dziennie. W dni nauki szkol-

nej o godzinie 6:09 można stąd pojechać do Łomży. Powrotnego brak. Ruszam między bloki, na ich zapleczu mnożą się chlewy, kurniki i gołębniki. Sfatygowane to wszystko, pokrzywione, wypaczone. Wiatr nikogo i niczego tu nie oszczędza. Dmie po równinie, Grądy-Woniecko są dla niego jedyną większą przeszkodą, więc się na nich wyżywa.

Przy jednej z komórek gospodarczych spotykam starszą kobietę. Nie chce się przedstawić, mówi tylko, że przez dziesięć lat pracowała na workowni w kombinacie. Męża pochowała krótko po likwidacji PGR-u. Została z trójką dzieci. Wszystkie później wyjechały.

– Kto mógł, ten stąd uciekł, kto nie mógł, dogorywa. Cztery lata na czarno u Niemca robiłam – mówi. – Potem dostałam udaru, poszłam na rentę. Mam osiemset złotych na rękę. W sezonie uprawiam zbieractwo, jak wszyscy tutaj – tnę pokrzywę, wożę, suszę i sprzedaję do skupu. Gdyby nie dzieci, tobym nie żyła.

Do lekarza i apteki jeździ do Rutek, na południowym krańcu bagien. Wychodzi na szosę i czeka na okazję. Czasem ktoś ją weźmie, czasem nie. Wtedy wizyta przepada.

– Musiałeś zabłądzić – słyszę kawałek dalej, z głębi klatki schodowej. Spoglądam w tamtą stronę, mężczyzna wyłania się z mroku i wyszczerza w bezzębny uśmiechu.

– No właśnie, gdzieś tu podobno jest ośrodek kultury z kawiarnią i biblioteką – mówię, choć wiem, że już dawno zamieniono go na zakład mechanicznego rozbioru drobin.

– Cwanyś! – mężczyzna wali ręką w udo. – Może jeszcze hotelu ci trzeba? – dodaje. Śmiejemy się obaj. Teraz jest tam więzienie, z którego Grądy W. trochę słyną.

Na imię mu Zygmunt. W kombinacie przepracował piętnaście lat. Najpierw jako traktorzysta, ale złamał pechowo nogę, okulał i przenieśli go do stróżowania.

– Dobrze się stało – mówi. – Maszyny sobie nie radziły, byle deszcz i w torfie grzęzły. A przecież z Niemiec je sprowa-

Tekst jest częścią cyklu **Zmiana klimatu już tu jest.**  
Mecenasem cyklu jest Santander Bank Polska,  
oferujący profesjonalną obsługę klientów Private Banking.

 **Santander**  
Private Banking